

wyglądał. Człowiek tego typu nie umiał wymyślić prochu, ale wiedział jak zepsuć strzelbę. Ponadto do pomocy miał J. Kulikowskiego, któremu nie można odmówić inteligencji, zwłaszcza tej „proletariackiej” czujności, jaką ćwiczył od 23 roku życia.

Wspomniana Komisja nie działała szybko, lecz doprowadziła do rozwiązania KBI i utworzenia w 1976 r. Komitetu Informatyki pod przewodnictwem premiera Piotra Jaroszewicza; krytyka jego osoby nie byłaby już tolerowana. W tak oto zręczny sposób uciszono pierwszych liderów informatyki gospodarczej. Pomimo, że nade mną już wisiał miecz Damoklesa, działałem jeszcze siłą rozpędu do połowy 1974 r., a praktycznie do końca 1973 r., bowiem w pierwszej połowie 1974 r. przychodziłem jeszcze do biura KBI, ale już korespondencja przestała mi być przydzielana, przez bardzo taktownego, do ostatnich moich dni, Zbigniewa Gackowskiego. Widocznie takie miał polecenie.

### Inne działania w 1972 r.

W KBI nie zwracaliśmy za dużo wagi na omawiane konflikty w środowisku informatyki. Byliśmy zaangażowani w inicjowanie i popychanie licznych projektów systemów zastosowań. Do jednych z nich zaliczał się projekt CYFRO-NET w ramach, którego planowaliśmy zakup superkomputera dla polskiej nauki oraz projekt Powszechnego Systemu Ewidencji Ludności — PESEL. Projekty te wchodziły do KSI, w związku z tym piszę o nich w następnym rozdziale.

Tutaj tylko wspomnę, że w ramach pierwszego projektu wyjechałem, z prof. Romanem Żelaznym z Instytutu Badań Jądrowych w Świerku do Francji, aby zapoznać się z szeroko reklamowanym komputerem Irys 60, który jednak zawiodł nasze oczekiwania. Podróż tylko nas utwierdziła, że musimy sprowadzić amerykański komputer.

W ramach projektu PESEL wyjechałem do Stanów Zjednoczonych, aby przeprowadzić rekonesans, co do wyposażenia tego systemu. Był to już mój drugi wyjazd do tego kraju, wskutek czego czułem się pewniej wśród członków delegacji złożonej z pracowników Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, którzy nie wyjeżdżali nawet do Zachodniej Europy. Szefem delegacji był płk Zygmunt Orłowski, pełnomocnik Ministra Spraw Wewnętrznych d/s PESEL. Kierowałem wówczas projektem WEKTOR dla kontroli inwestycji i Orłowski liczył na moje doświadczenie. Zetknięcie się z tym człowiekiem było potem dla mnie utrapieniem. Gdyby nie to, że obaj mieliśmy poczucie humoru, nasza współpraca byłaby koszmarem, przynajmniej dla mnie. Dla Pułkownika też nie była lekka, ponieważ mu „nie oszczędzałem” różnych przycinków w rodzaju: „Jest Pan chyba najbardziej gorliwym synem tego osławionego resortu”. Sprytniejszy od lisa Orłowski wiedział, że nie był to komplement. Piszę o tym w rozdziale o KSI.

Będąc w Nowym Yorku odwiedziłem Gordona Smitha, mojego znajomego informatyka z Genewy. Smith jako sekretarz wykonawczy *Association for Computer Machinery (ACM)* miał duże wpływy i kontakty. Poznał mnie z kilkoma

amerykańskimi informatykami, w tym z Goergem Capsisem, który pomógł mi w okresie mojego późniejszego kryzysu. Smith był bardzo dystyngowanym dżentelmenem podobnym do amerykańskiego polityka Cabota Lodge'a, o wyglądzie arystokraty. Mój przyjazd był okazją dla Gordona, aby zaprosić mnie do kilku wykwintnych restauracji, podczas których pochwalił się swą atrakcyjną przyjaciółką, „oczywiście” hrabianką węgierską. Napisałem „oczywiście” ponieważ w Ameryce, Węgrzy są postrzegani jako arystokraci. Image taki kreuje Hollywood, wystarczy przypomnieć takie filmy jak „Casablanka”, „Angielski Pacjent”, czy „Oczy szeroko zamknięte”, w których bohaterami są „węgierscy hrabiowie i baronowie”. (Inna rzecz, że do 1945 r. Węgry były rządzone przez książąt węgierskich). My Polacy nie mamy takiej opinii, chociaż polskich arystokratów jest więcej tutaj niż węgierskich. Jeden z nich ks. Radziwiłł wzenił się nawet do rodziny prezydenta Johna Kennedy i bywał regularnie w Białym Domu.

W ramach Programu Badawczego DIEBOLD wyjechałem z prof. Władysławem Radzikowskim do Hiszpanii. Dzięki temu programowi mieliśmy dostęp do informacji na temat ważnych projektów systemów informatycznych realizowanych w Zachodniej Europie i w USA. „Bohaterem” konferencji był młody Amerykanin, który rozszyfrował komputerowe kody telefonicznej firmy ATT i wyłudził od niej sprzęt na 1 mln dol. Był to chyba pierwszy „hacker”, który był świetnym studentem i dlatego został ułaskawiony przez sąd. Potem założył firmę doradczą, jak ustrzec się przed elektronicznymi włamaniami do systemów. Usługi swe nawet zaoferował firmie ATT, która jednak z nich nie skorzystała. Teraz w 1999 r. złapany musiałby odsiedzieć parę lat, ale w 1972 r. był prawdziwą ciekawostką dla zawodowych i uczciwych informatyków.

Byłem pierwszy raz w Hiszpanii, kraju znanym nie tylko z wojny domowej w 1936 r. i mądrej dyktatury gen. Francisco Franco, który jeszcze urzędował, ale już przygotowywał się do przekazania władzy młodemu królowi. (Franco umarł w trzy lata potem). Było wielu chętnych do tego tytułu, bowiem rodzina Burbonów jest liczna, a Franco przebierał jak w ulęgalkach. Schodząc po schodach z samolotu w Madrycie zauważyłem, że zrobiono mi zdjęcie, czym byłem bardzo zdziwiony, „czyżby mnie i tu znali”. Potem dowiedziałem się, że zdjęcia robiono wszystkim przyjezdnym, których Dyktatura Franco ledwie tolerowała. Mer Madrytu zaprosił uczestników konferencji na przyjęcie do ogrodów miejskich. Kiedy dowiedział się, że jestem z Polski, powiedział, że żyje tu wielu Polaków, którzy w wojnie domowej walczyli po stronie Falangi. A więc nie tylko Polacy spod znaku gen. Karola Świerczewskiego walczyli w wojnie domowej w 1936 r. Zrobiło mi się miło i napiłem się z merem za ich zdrowie.

W Madrycie było wówczas bardzo gorąco, więc z Władkiem szliśmy bardzo często do pięknego hotelowego basenu. Ponieważ był to najlepszy hotel w tym mieście, (w gorszych hotelach DIEBOLD nie organizował konferencji), więc przebywało w nim wykwintne towarzystwo, któremu kelnerzy podawali drinki do samego basenu. Nie chcąc być gorszym i ja zamówiłem drink pierwszy i ostatni raz w życiu, siedząc w wodzie. W taki oto sposób próbowałem rozko-

szować się wolnością na Zachodzie. Oczywiście wyskoczyłem z konferencji do muzeum Prado, gdzie podziwiałem dzieła wielkiej trójki hiszpańskich malarzy: El Greco, Goyi (przyglądałem się zwłaszcza długo, w oddzielnej salce, jego sławnej, nagiej Maji) i Velazqueza. Organizatorzy konferencji zorganizowali nam wypad do Toledo na *corridę*, gdzie turyści, tacy jak ja, mogli walczyć z młodymi byczkami, oczywiście stale chowając się za drewniane ścianki.

Na konferencji tej poznałem Amerykanina dr. Lawrence'a Roberta, który był administratorem projektu ARPANET, z którego wywodzi się Internet. Roberts pierwszy dostrzegł wielkie pieniądze, jakie popłyną z usług telekomunikacyjnych dla potrzeb teleinformatyki i niedługo potem przeszedł z Departamentu Obrony do prywatnego biznesu, gdzie uruchomił pierwszą publiczną, usługową sieć komputerową (*VAN-Value Added Network*) — Telenet. W autobusie w drodze do Toledo uciałem rozmowę z Jamesem Martinem, sławnym autorem książek informatycznych tłumaczonych na wiele języków. Spytałem się go: „Czy sytuacja w sprzęcie informatycznym ustabilizowała się?” Odpowiedział mi: „Ależ skąd, daleko jeszcze do ustabilizowania się”. Miał rację, w 10 lat potem miała miejsce cicha rewolucja mikrokomputerów, która do dzisiaj trwa i wnosi wiele zamieszania do infrastruktury informacyjnej.

Wyjechałem do W. Brytanii m.in. z Jerzym Hukiem, ale ponieważ rozchorowałem się, więc przez cały czas przeleżałem się w łóżku w hotelu, do którego, co parę godzin zaglądał lekarz i za każdym razem zostawiał rachunek. Raz zajrzał do mnie Huk, ale moja choroba uniemożliwiła mi pójście z nim do restauracji, które tak uwielbiał i ewentualne zawarcie „paktu o nieagresji”.

We wrześniu min. Kaczmarek włączył mnie do oficjalnej delegacji do NRD, (byłem w niej drugi rangą po szefie), gdzie zapoznaliśmy się m.in. z osiągnięciami wschodnio-niemieckiego kombinatu *Robotron* w produkcji sprzętu komputerowego. Okazuje się, że Niemcy produkują pamięci dyskowe, końcówki ekranowe i drukarki. Na te ostatnie Polska miała specjalizację w ramach RWPG, bowiem wydaliśmy krocie najpierw na licencję z W. Brytanii a potem z Francji. Oczywiście MERA nie dostrzegała wyrobów z NRD i ciągle była uwikłana w niekończące się kontraktowanie tych urządzeń z dziesiątków małych firm. A dlaczego? Pozostawiam odpowiedź samemu czytelnikowi.

W NRD patrzyłem szeroko otwartymi oczami, jak rodzący się „naród NRD” (tak twierdziła tutejsza propaganda) daje sobie radę w obozie Sowieckim. NRD była wtedy oknem wystawowym naszego obozu na Zachód. Sklepy były dobrze zaopatrzone, wszędzie był porządek, ale i była jakaś odczuwalna tam nuda, jakaś pasywność. Kaczmarek dał popis swojej sprawności, ponieważ w jednej osobie łączył kilka stanowisk, więc co dwie godziny spotykaliśmy się z kolejnym ministrem czy prezesem, a on każdego wprawiał w podziw swym niemieckim i znajomością tematu. Ten polski „romantyzm” w konfrontacji z niemieckim „rzemiosłem” lekko zwyciężył, ale dodajmy, tylko przy konferencyjnym stole, gdzie zawsze mamy dużo do powiedzenia, gorzej potem z realizacją polskiego gadulstwa.

Podczas obiadów czy kolacji Kaczmarek sypał dowcipami, które mu od czasu do czasu po polsku podsuwałem. Jedzenie zapijaliśmy zachodnio-niemieckim winem reńskim. Podróżowaliśmy autostradami w tzw. szachownicę, po dwóch pasach, aby zapobiec niespodziewanemu atakowi z boku. System ten zapoczątkował Hitler i tak już pozostało to w NRD, gdzie władze zawsze czegoś się bały. W ramach tego systemu, obrady odbywały się w eleganckich domach, za szlabanami, podnoszonymi przez uzbrojonych żołnierzy. Dyktaturę odczuwało się tu na każdym kroku, bowiem w dodatku wszyscy nasi rozmówcy byli absolwentami sowieckich uczelni, którzy z niemiecką, przysłowiową precyzją doskonalili reżim.

Oczywiście musieliśmy złożyć wieniec pod pomnikiem radzieckich żołnierzy, „wyzwolicieli” Berlina. W czasie składania wieńca zwróciłem uwagę Ministrowi, że w sąsiednim budynku są duże kuchnie, tak przynajmniej wydawało mi się obserwując je przez szeroko otwarte okna. Jak wiadomo w PRL budowano bardzo małe kuchnie, często bez okna. Kaczmarek oderwał wzrok od wieńca i skarcił mnie, jak zwykle, mówiąc: „Myli się Pan, to jest pokój nie kuchnia”. Szef jak zwykle wiedział lepiej.

W drodze powrotnej usiadłem z dala od Ministra, chcąc dać mu wytchnienie ode mnie a po drugie bojąc się, że będzie mnie jak zwykle ochrzaniał. Obejrzał się do tyłu i wzrokiem polecił mi usiąść przy sobie. Zauważyłem, że nie zupełnie był „komputerem”, kiedy pojawiła się bardzo atrakcyjna stewardessa, okazał się być żywym mężczyzną z krwi i kości. Zorientowałem się, że się znają, bo z żalem zwrócił się do niej: „Dlaczego Pani nie zadzwoniła do mnie?” Domyślałem się, że pewnie w sprawie „otworzenia przewodu doktorskiego”.

Praca w Ministerstwie Nauki była przyjemna, dużo inteligentnych ludzi, którzy mieli klasę. Byłem z ramienia KBI członkiem Resortowej Komisji Wyjazdowej, która zatwierdzała zagraniczne wyjazdy specjalistów z resortu i resortów sponsorowanych. Taka już była procedura, praktykowana we wszystkich resortach i miała na celu lepszą gospodarkę dewizami, aby uniknąć niepotrzebnych wyjazdów. Przewodniczącym Komisji był bardzo przyzwoity inż. Andrzej Skala, dyrektor Gabinetu Ministra, jeszcze kilka osób, z których wyróżniała się pani Sułkowska. Była to kobieta bardzo ładna a właściwie piękna, niezwykle elegancko ubrana jak na styl panujący w PRL, zwykle chodząca w długiej sukni i twarzowych woalkach o zapachu, co najmniej *Chanel 5*. Po korytarzu nie szła a płynęła. W jej obecności czuło się nie jak na zebraniu roboczym a jak na eleganckim przyjęciu, może nawet balu. I do tego to nazwisko, czuło się w niej księżną. Wróciła co dopiero z Egiptu od kuzyna-generała. Nie wiem, jakie łączyło tę panią pokrewieństwo z gen. Józefem Sułkowskim, adiutantem Napoleona, nie śmiałem o to spytać ale po co, zachowanie pani S. najwyraźniej wskazywało, że było ona w prostej linii potomkiem Generała. Szkoda, że znała się z nami a nie z Napoleonem. W jej obecności a zwłaszcza za jej wstawiennictwem, każdy wyjazd przechodził. Byliśmy bardzo pozytywną Komisją, która wprost wypychała specjalistów za granicę, zwłaszcza na Zachód. Sam podpisałem po-

nad 500 wniosków wyjazdowych informatyków sponsorowanych przez nas. Służyło temu odprężenie i kredyty, których tylko mała część szła na owe wyjazdy. Po każdym powrocie z Zachodu taki specjalista mówił już innym językiem i oto nam też chodziło po cichu. To ci ludzie z biegiem czasu przyczynili się do rozsądzania reżimu od wewnątrz.

Dzięki tak pozytywnej Komisji mogłem dostać dewizy Stefanowi Bratkowskiemu, którego wysłałem do Hiszpanii. Stefan dużo pisał o Zachodzie, ale nigdy na nim nie był. Raz zorganizował podróż jachtem dookoła świata, ale z nim dopłynęli do Helu, załoga pokłóciła się i zawróciła do brzegu. Postanowiłem przerwać tę nonsensowną sytuację. Stefan po wylądowaniu tak zauroczył się Hiszpanią, że w trzecim dniu pobytu wydał już wszystkie diety. Zadzwoiłem do mnie, żeby dostać mu pieniądze. Bagatela, żeby to zrobić trzeba było przekroczyć szalenie sztywne, dewizowe przepisy. Ale dzięki tak pozytywnej Komisji, nie było z tym problemu, zwłaszcza, że wszyscy bardzo liczyli się z red. Bratkowskim i dobrze mu życzyli, zwłaszcza pani Sułkowska i nie chcieli by głodował w Hiszpanii.

Pewnego razu Kaczmarek zadzwonił do mnie, że trzeba red. Bratkowskiego zwolnić z pracy z OBRI. Nie wyjaśnił mi dlaczego, ale łatwo było domyśleć się, że takie polecenie otrzymał z góry. Stefan po zwolnieniu go z redagowania bardzo popularnego „Życia i Nowoczesności” mógł czuć się prześladowanym. Wszyscy politycy głosili odnowę po Grudniu 1970 r., a Stefan był jej największym orędownikiem. Miał wspaniałe pióro i każdy jego tekst odgrywał taką rolę, jaką pełni szczupak w stawie sennych karpi, wprowadzał wszystkich w ruch, mobilizował do działania i także, co nie jest bez znaczenia, do myślenia. Kiedy przeszedł do OBRI nie zaprzestał pisania, choć go nie publikowano, bo cenzura zdejmowała teksty, ale był taki zwyczaj, że zdjęte teksty były drukowane w Biuletynie Specjalnym na tzw. „białych kartkach”. Stefan o tym wiedział, więc pisał dla bardzo zamkniętego grona czytelników, w tym premiera Jaroszewicza, który nie mógł Stefana strawić. Nie wykluczam, że to on wydał polecenie jego zwolnienia.

Odpowiedziałem Kaczmarkowi, że „zbadam” sprawę, choć nie o to mnie prosił. Udałem się do Stefana, do jego mieszkania (będącego w ustawicznym remoncie) na Powiślu, gdzie bywałem bardzo często i pogadałem sobie z Romą i Stefanem. Oczywiście nic im nie mówiąc o poleceniu zwolnienia Stefana, aby ten nie denerwował się, zresztą nie miałem zamiaru Stefana zwalniać. Mówiliśmy na wszystkie możliwe tematy, tzn. mówił głównie Stefan, bowiem był już taki ustalony „protokół dyplomatyczny”, myśmy tylko słuchali i przytakiwali, i to tylko w momencie, gdy Stefan nabierał oddechu. Ale przypominam sobie, że nie tylko Premier miał za złe Stefanowi, ale i jego cierpliwa żona, wtedy poskarżyła mi się, że „Stefan traktuje ją jak mięso armatnie”. Wówczas energia rozsadzała Stefana na wszystkich odcinkach ludzkiego bytu.

Po pewnym czasie zawiadomiłem ministra Kaczmarka, że „przeprowadziłem rozmowę z red. Bratkowskim”. Upłynął pewien okres czasu, sprawa jakby uci-



chła i sam Kaczmarek najwyraźniej nie chciał zrobić krzywdy Bratkowskiemu, chociaż ten wszystkim politykom, w tym samemu Kaczmarkowi, dawał się we znaki. Ale Kaczmarek był profesorem i zapewne cenił zdolnych, a może w danym przypadku, wybitnych „studentów”.

Korzystając z przyjaznej atmosfery w Ministerstwie Nauki sfinansowałem pod względem dewizowym (poprzez Polski Związek Żeglarski) zakup świetnego radia japońskiego dla jachtu „Polonez”, jakim Krzysztof Baranowski opłynął samotnie Glob w latach 1972/73. Zakup odbył się pod pretekstem eksperymentu z globalną transmisją danych, uważam jednak, że był to dobry pretekst, ponieważ dzięki temu radio cała Polska była na bieżąco informowana o tej słynnej podróży, wówczas bardzo rzadko podejmowanej. Baranowski opłynął świat wokół tzw. „ryczących 40-tek”. Powracającego Żeglarza witał 70 tys. tłum w Szczecinie. Gdy o naszym zakupie powiedziałem min. Kaczmarkowi, ten miał żal, dlaczego wcześniej go o tym nie poinformowałem. W tym samym czasie przebywał w Szczecinie Jan Szydlak, którego witał znacznie mniejszy tłum. Zadzrosny Sekretarz KC nałożył potem cenzurę na informacje o Baranowskim.

W całym tym okresie dojeżdżałem do pracy z Małej Wsi, gdzie kierowałem pracami Komisji Ekspertów d/s Kontroli Inwestycji. Było to nowe podejście do rozwiązywania problemów w PRL, bo do Małej Wsi zapraszaliśmy najwybitniejszych specjalistów od inwestycji oraz resortowych wiceministrów. Raz nawet odbyło się jakby posiedzenie Rządu, w okrojonym składzie, pod przewodnictwem wicepremiera Mitreği, na którym referowałem system WEKTOR. Obok znanych konfliktów z przemysłem, musiały docierać do Warszawy także pozytywne informacje o mojej działalności pod Warszawą.

Był nawet taki czas, kiedy rozeszła się plotka o moim awansie na stanowisko wiceministra Nauki. Oczywiście byłoby to nie do strawienia dla kliki Straszaka, który, zdaje mi się, że namówił grupowego partyjnego w KBI inż. Tadeusza Selbiraka do skompromitowania mojej osoby. Selbirak wysłał pismo do wiceministra Jasickiego, że „dyrektor Targowski ma zastrzeżenia do mojej pracy, m.in. za bezpośrednie kontakty z Ob. Ministrem”. Dochodzi do konfrontacji i Selbirak wycofuje się, (nawet podpisuje porozumienie), ale nie jego sponsorzy. Przenosi konflikt na łamy Polityki (10.04) gdzie pisze, że: „Podkreślić należy, że oprogramowanie podstawowe produkowanych w kraju maszyn jest bardzo dobre, odczuwa się brak specjalnych programów użytkowych... Resorty muszą opracowywać długofalowe programy wdrażania informatyki”. W pierwszym zdaniu kłania się MERZE a w drugim gani KBI, w którym pracuje. Sprawę bierze w swe ręce Egzekutywa POP Ministerstwa, na której Selbirak wycofuje się z porozumienia, pod pretekstem, że go przy podpisywaniu bolała głowa. Dyr. Konarski zarzuca Selbirakowi nielojalność wobec miejsca pracy, informując, że może ono doprowadzić do skierowania sprawy w ręce prokuratora. Oczywiście nikomu na tym nie zależy, bo Selbirak a raczej jego promotorzy cel swój osiągnęli.

Całe szczęście, że nie awansowałem i tak nic więcej nie byłbym w stanie zrobić dla informatyki w PRL, a tylko bym sobie popsuł życiorys, bo wielu ludzi,

kłuła w oczy moja pozycja w administracji gospodarczej. Na szczęście nie było wówczas strategii „im gorzej tym lepiej” i niczego nie żałuję, co robiłem wtedy w moim zawodzie. Pracowałem dla dobra mojej Ojczyzny tak, jak większość ludzi w moim wieku i ze środowiska tzw. inteligencji pracującej.

Ostatnim niejako akordem w 1972 roku była sprawa przygotowań do II Kongresu Nauki Polskiej. Na tym Kongresie byłem wyznaczony na referenta informatyki, przy czym mój referat miał być podsumowaniem referatów cząstkowych opracowanych przez prof. Władysława Turskiego, doc. Marka Greniewskiego, doc. Romana Kuleszę i doc. Jerzego Janickiego. Oczywiście wyznaczeni naukowcy nie opracowali na czas a nawet w ogóle swoich referatów. Wyglądało na to, że ta najgłośniejsza i najbardziej rozpolitykowana wówczas dyscyplina nauki i gospodarki nie będzie reprezentowana na Kongresie.

W tej sytuacji zadzwonił do mnie prof. Roman Kulikowski, z-ca sekretarza naukowego PAN (z-ca Jana Kaczmarka), abym w pilnym trybie sam opracował ów referat. W końcu listopada opracowałem referat, który przedstawiłem na posiedzeniu Komitetu Informatyki PAN. Posiedzenie to miało bardzo dziwny przebieg, ponieważ w pierwszym punkcie przedstawił swój referat (nie na Kongres) prof. Jerzy Seidler z Gdańska. Prof. Seidler był przewodniczącym tego Komitetu więc dał preferencje swojemu referatowi, a nie temu na Kongres. Ponieważ Profesor był wybitnym specjalistą od technicznej strony telekomunikacji, zatem jego referat był na ten bardzo szczegółowy temat, lecz nie bardzo pasujący do ogólnych kierunków i zadań informatyki gospodarczej, w jakie nauka informatyki powinna się wpisać.

W nauce, a zwłaszcza w polskiej, panowała zupełna swoboda badań, wprowadzie finansowanych przez państwo, ale w praktyce zaspakająca zainteresowania naukowca, a nie sponsora. Zresztą największym problemem informatyki w Obozie Sowieckim było to, że nie było biznesmenów w informatyce, którzy rozwiązaliby większość trudniejszych zadań poprzez konkurencję na rynku i motywację zysku. W Stanach Zjednoczonych polskie zadania „naukowe” rozwiązywali studenci, którzy nigdy nie ukończyli studiów (np. Bill Gates, Steve Jobs). W Polsce ich zadania mieli rozwiązywać profesorowie i członkowie PAN. Był to oczywisty nonsens.

Jako praktyk publikujący w nauce, przedstawiłem w referacie potrzeby na prace naukowe, jakie wynikały z Programu Rozwoju Informatyki. W imieniu państwowego sponsora sformułowałem zamówienie dla naukowców — informatyków. Bardzo ich to oburzyło, że ktoś śmie im mówić, co mają robić. Z najostrzejszą krytyką wystąpili ci, co mieli opracować referaty cząstkowe. Prof. Turski rozesłał nawet dokument-paszkwil na temat mojego referatu. Będę o nim wzmiankował w rozdziale o KSI. Oczywiście dyskusja nad moim referatem nie była merytoryczna, natomiast była bardzo krótka i ostra, ponieważ prof. Seidler zabrał dużo czasu dla siebie.

Po spotkaniu zatelefonował do mnie prof. Roman Kulikowski (nie mylić z Juliuszem) i prosił mnie, abym nie przejmował się przebiegiem zebrania.

W KBI odwiedził mnie prof. Stefan Węgrzyn (z Katowic) i wprost powiedział, że wstydzi się za zachowanie „kolegów”. Przeprosił mnie, że takie wydarzenie mogło w ogóle mieć miejsce na spotkaniu w PAN. Oczywiście o wszystkim dowiedział się prof. Jan Kaczmarek, który zadzwonił do mnie, abym mu dostarczył ów referat. Po poprawkach referat został pozbawiony wszystkich ważniejszych rozwiązań. Wersja, która dotarła na Kongres, była już okrojona ze wszystkiego, co można uznać za wartościowe. Wymienieni tu „naukowcy” sami nie umieli sprostać zadaniu i innym nie dali go zrealizować. Polskie *liberum veto* osiągnęło po 300 latach ponownia swój szczyt.

Niejako na marginesie tego burzliwego roku powstaje koncepcja programowa Telewizyjnego Kursu Informatyki, którą opracowaliśmy ze Zbigniewem Gackowskim, a prof. Jan Kaczmarek ją zweryfikował. Trzeba ją było uzgodnić z wieloma instytucjami, głównie z Ryszardem Łukaszewiczem, sekretarzem KC d/s Propagandy oraz przygotować wykładowców i materiały szkoleniowe. Olbrzymia logistyczna praca.

Kurs rozpoczął się inauguracyjnym wykładem prof. Kaczmarka, który wypadł naprawdę bardzo dobrze i zbierał od wielu gratulacje. Ostatecznie był z wykształcenia mechanikiem, ale rolę informatyki w gospodarce rozumiał w lot i bardzo mocno ją promował. Nikt mu za to nie dziękował tylko miał za złe. On wiedział, że w Dyktaturze nie można gniewać się na nikogo, ewentualnie tylko na „system” i dlatego trzeba robić swoje, jeśli kto wie, co trzeba robić, bo większość nic nie robiła, jak to Stefan Bratkowski określił „BBB — Blokuje Bezkarnym Bezładem”.

Kursu tego „nie zauważył” Straszak, który w raporcie dla Komisji Partyjno-Rządowej napisał, że „nawet nie uruchomiono kursu szkolenia telewizyjnego”. Za jego namową członkowie owej Komisji robią zarzuty Kaczmarkowi, członkowi Prezydium Rządu, zwłaszcza za niektóre jego sformułowania. Od jednych zbiera gratulacje, ale dla tych „najważniejszych” musi zbierać (przy pomocy) dokumentacje i wyjaśniać, że to co powiedział, było już swego czasu opublikowane. Z tego faktu można wnioskować, że Straszak organizował na nas nagonkę nie dlatego, że nie mieliśmy koncepcji rozwoju informatyki, tylko dlatego, że nasza koncepcja była niebezpieczna dla funkcjonowania Dyktatury. Członkowie rządzącej partii, zwłaszcza, z kręgu „dyktatury ciemniaków”, jak ich określił Stefan Kisielewski, byli wdzięczni prof. Straszakowi, że tak o nich dba.

Pod koniec 1972 r. Ryszard Terebus, z-ca dyrektora ZETO we Wrocławiu rozpuszcza plotkę o rozwiązaniu KBI i zwolnieniu Gackowskiego i Targowskiego. Wydarzenia roku 1972 nic dobrego na przyszłość nie wróżyły. Następne lata są pełne nieporozumień, błędnych decyzji i pogłębiającego się rozkładu nie tylko w górnych warstwach informatyki, ale co jest znacznie gorsze, także w jej dolnych.



## Informatyka w 1973 r.

W plotce Terebusa był pewien łut prawdy. Dochodzi do powołania Władysława Matwina na dyrektora naczelnego Zjednoczenia Informatyki (ZETO) i zwolnienia z tej funkcji Zbigniewa Gackowskiego, który ma skupić się na pracy w KBI. Naszym kandydatem na dyrektora Zjednoczenia Informatyki był prof. dr hab. Władysław Radzikowski, najwybitniejszy expert w Polsce w dziedzinie optymalizowania decyzji gospodarczych przy pomocy metod matematycznych. Jego nominacji sprzeciwił się podobno minister Tadeusz Wrzaszczyk, który zdymisjonował Władka ze stanowiska dyrektora naczelnego Instytutu Organizacji i Zarządzania, tzw. ORGMASZU, aby na to miejsce awansować swego to-tumfackiego, mgr. inż. Jana Kramarczuka. Wielka szkoda się stała dla informatyki, gdyby prof. Radzikowski objął wspomniane stanowisko, szybko by się rozprawił z niektórymi lesserami tak w samej centrali zjednoczenia, jak i w podległych zakładach.

Matwin przybywa w aureoli byłego członka Biura Politycznego, sekretarza KC i I sekretarza KW we Wrocławiu, który swego czasu podpadł Gomułce, ponieważ był przeciwny podwyżce ceny za gaz i elektryczność. Teraz za Gierka powraca powoli do łask. Po odsunięciu od władzy Matwin skończył matematykę i pracował w Instytucie Maszyn Matematycznych MERY. Fakt ten w powiązaniu z jego pochodzeniem z Wrocławia nic dobrego KBI nie wróżył.

Przez pierwsze miesiące Matwin nie włącza się do pracy w Zjednoczeniu, unika kontaktów z KBI, do którego został wrogo nastawiony przez wojskowych dyrektorów MERY. W marcu szukam kontaktu z „podległym KBI” Matwinem, który tak się zachowuje, jakby to KBI podlegało jemu. Matwin zaprasza mnie na kilkugodzinną rozmowę do swego pięknego mieszkania w al. Róż. Gospodarz jest pełen entuzjazmu i nadziei, uważa swoją nową pracę za najbardziej interesującą w jego długiej i bogatej karierze. Główną uwagę ześrodkowuje na potrzebie rozwiązania organizacyjnego „na górze”, poprzez urząd wicepremiera i komasację jednostek służby informatyki. Pytam go o rolę ośrodków resortowych, centralnych, a w szczególności zetowskich; nie umie sformułować roli i zadań. Staje się jasne, że szykuje się do odegrania większej roli, aniżeli wskazuje jego obecne miejsce zatrudnienia. Taką też opinię rozpuszcza najbliższe jego otoczenie.

Do pierwszego spotkania Dyrektora Zjednoczenia z Dyrektorami ośrodków ZETO dochodzi w Krakowie dopiero w cztery miesiące po jego mianowaniu, czyli pod koniec kwietnia. Obrady w Krakowie są jedną farsą. Mówcy mówią o wszystkim, tylko nie o sprawach podstawowych dla ZETO. Matwin informuje, że „dopiero co została powołana Komisja Partyjno-Rządowa d/s Informatyki w celu uporządkowania informatyki i, że jest to tragedia, że jej uporządkowaniem muszą zajmować się tak wysokie czynniki”. Odpowiadam, że „jest to raczej sukces informatyki”. Ciągle jestem niepoprawnym optymistą, będąc przekonany, że logika pozytywnej roli informatyki w gospodarce zwycięży. Marazm obrad jest oczywisty. Po pierwszym dniu obrad wyjeżdżam z Krakowa, szkoda

mi czasu. W drugim dniu obrad Matwin pokazuje w podsumowaniu swój lwi pazur, mówiąc, że „dziękuje za wypowiedzi Dyrektorów, ale takiego „płaskodupia” nie będzie tolerował”. Jest to zapowiedź ostrzejszego kursu, który jak się okaże zostanie przyjęty nie w ZETACH, lecz wobec KBI.

Państwowa Rada Informatyki (via Grupa Robocza) zleca Matwinowi i mnie opracowanie materiału na temat organizacji służby informatyki. Rewanżuję się i zapraszam Matwina i prof. Leona Łukaszewicza do swojego domu. Przychodzi tylko Łukaszewicz. W spotkaniu w biurze, Matwin wysuwa tezę, że kierowanie tak olbrzymią problematyką wymaga odpowiedniego „dużego momentu gnącego”, który można uzyskać dzięki połączeniu produkcji sprzętu oraz usług ZETO i KBI. Replikuję, że ulokowanie tej służby w Ministerstwie Przemysłu Maszynowego, wobec jego innych wielkich zadań doprowadzi do przesunięcia informatyki na boczny tor. Potwierdza to prof. Łukaszewicz. Nie jest przekonany o tym Matwin, który bojkotuje opracowanie dokumentu, natomiast wraz z Terebusem prowadzi rozmowy na temat zorganizowania tej służby w MPM. Minister Wrzasczyk woli nie brać na swoją głowę takiego kłopotu i studzi zapędy wrocławian.

Matwin, zdeprymowany niepowodzeniem swego planu przyjmuje stagnacyjną politykę w Zjednoczeniu Informatyki, nie angażuje się w realizację zadań projektowania i eksploataowania pilotowych systemów KSI. Stawia natomiast wygórowane żądania, jak na przykład plan inwestycyjny na 20 mld. zł., podczas gdy ma przyznane środki na 500 mln. zł. W sierpniu przedstawia plan na 1974 rok, w którym zakłada 25 procentowy wzrost wartości usług w stosunku do 1973 r., czyli chce „ugotować” zakłady i zmusić je do uległości. KBI i Ministerstwo Nauki odrzuca plan, bowiem nie zawiera części rzeczowej. Po wielu naciskach i typowych dla niego „prywatnych liścikach” do ministrów, plan zostaje przyjęty. Na swojego zastępcę Matwin mianuje Terebusa, który odąd hamuje rozwój warszawskiego ZETO, bowiem ten jest stale lepszym zakładem od wrocławskiego. Matwin i Terebus sabotują realizowanie systemów KSI: PESEL i WEKTOR w ośrodkach ZETO, ponieważ są to systemy promowane przez KBI. Aby uniemożliwić realizację systemu WEKTOR, Matwin przenosi Zdziśka Bogdanowicza ze Szczecina na stanowisko Dyrektora ZETO-ZOWARU w Warszawie, gdzie zablokuje jego działalność. Obaj: Matwin i Terebus, pochodzą z partyjnego aparatu, wiedzą więc, jak manipulować ludźmi i propagandą.

Matwin oburza się, że wyznaczam mu zadania premiowe, odwołuje się do wiceministra Podgórskiego, który poleca mu, aby sam sobie takie zadania wyznaczał. Motyw Matwina był jasny, chciał wykazać, że dalsze pozostawanie Zjednoczenia Informatyki w Ministerstwie Nauki jest niemożliwe. To nic, że parę dni przedtem odwiedza mnie w KBI i powie, że „Z Panem wszystko da się załatwić”. Później powie to samo Gackowskiemu. Przeprowadzona kontrola w końcu 1973 r. przez Ministerstwo Nauki wykaże katastrofalny stan tego Zjednoczenia. Prócz spostrzeżenia, że „panuje w nim stan zorganizowanego nieróbstwa”, okazuje się, że „planów i sprawozdań” Zjednoczenie w zasadzie nie sporządza, za-

dania statutowe odnośnie zapewnienia właściwej koordynacji merytorycznej nie były przez Centralę Zjednoczenia w pełni realizowane z braku odpowiedniej liczby kompetentnych pracowników, którzy wprawdzie stanowią 14 proc. stanu Centrali, ale tylko 3 osoby posiadają odpowiednie przygotowanie zawodowe. Wobec braku planów rzeczowych, nie można ustosunkować się do prawidłowości struktury „świadczonych usług”. Nie można się temu dziwić, skoro dyrekcja na co dzień nie zajmuje się Zjednoczeniem, zważywszy że, a na 100 dni pracy R. Terebusa pracuje w rzeczywistości 48 dni, resztę czasu spędza na odwiedzinach rodziny i ZETO we Wrocławiu lub za granicą. Z drugiej strony Zjednoczenie nie może narzekać na brak kierowników, którzy stanowią 54,6 proc. wszystkich zatrudnionych, czyli na jednego pracownika wykonawczego przypada 1,2 pracownika z grupy kierowniczej. Jak również wykazała kontrola, nieliczni rzeczywisti pracownicy zajmują się adresowaniem kopert, bo osoba za to odpowiedzialna odmawia, gdyż została żoną bardzo wpływowej osoby.

Matwin organizuje wycieczki zagraniczne swym protegowanym. Finansują je zagraniczni dostawcy sprzętu. Na przykład zatrzymałem wyjazd Terebusa na czele zaprzyjaźnionych z nim dyrektorów ZETO do Republiki Federalnej Niemiec na zaproszenie firmy BASF. Były po temu aż trzy powody. Po pierwsze specjalnym zarządzeniem Premier zabronił wyjazdów na koszt firm przed podpisaniem kontraktów, po drugie ZETO nie miało dewiz na zakup tych taśm magnetycznych, a po trzecie takie taśmy magnetyczne produkował już zakład przemysłu chemicznego w Gorzowie Wielkopolskim. Ponieważ Terebus już obiecał wyjazd swym koleśiom (Ryszard był znany z zamięłowania do alkoholowych biesiad w restauracjach, gdzie po kilku wódkach śpiewał nawet dowcipne piosenki) więc Matwin poszedł na skargę do wiceministra Podgórskiego, który w obecności Jacka Karpińskiego, przekazał mojej sekretarce ostre uwagi na temat mojej decyzji. Oczywiście wyjazd doszedł do skutku, ale ja wkrótce (przełom 1973/74 r.) zostaje odsunięty od nadzorowania Zjednoczenia Informatyki.

Matwin<sup>9</sup> zaczyna powoli powątpiewać w skuteczność swojej misji, coraz częściej powołuje się na swe wizyty w KC i chwali się swymi koneksjami, aby wytworzyć mit nietykalności swojej osoby. Panuje opinia „szef pójdzie i załatwi”. Komisja, która przeprowadza kontrolę w Zjednoczeniu spotyka się z taką opinią, pracownicy przedstawiają kompromitujące dokumenty, ale nikt nie liczy na ich skorygowanie. Atmosfera udziela się i kontrolującym, którzy uważają swoją pracę za marnowanie czasu. Przykre wrażenie sprawiał były członek Biura Politycznego i sekretarz KC, który po latach chwalił się, że został przyjęty przez instruktora w KC. Cała ta historia dzieje się w krainie łotrostwa i niesamowitego absurdu. Nic dziwnego, że pod koniec XX stulecia, postkomuniści z SLD żalują „złoty czasów” PRL-u.

---

<sup>9</sup> A propos nazwiska Matwin, pisarz XIX w. Wł. Łoziński napisał powieść zatytułowaną „Czarny Matwin,” w której akcja dzieje się w okolicy Surabora i Przemyśla. Zapewne z tamąd pochodzi tenże Matwin.



Wiosną 1973 r. ma miejsce II Krajowa Konferencja Informatyki w Poznaniu. Odsunięty z ZETO-ZOWARU Waldemar Wiśniewski, jako sekretarz Polskiego Komitetu Przetwarzania Informacji (PKAPI) zmienia orientację konferencji użytkowników informatyki na konferencję producentów sprzętu. Jedyne producent tego sprzętu odmawia zorganizowania wystawy sprzętu, zastępuje ją referat J. Chelchowskiego, z-cy dyr. ELWRO, pełen sloganów. W referacie programowym, PKAPI chwali się, że jego największym osiągnięciem było opracowanie Programu Rozwoju Informatyki na lata 1971-75. Za jego opracowanie otrzymują nagrody i złote odznaki NOT rzekomi autorzy tego programu jak Straszak czy Janicki i wielu innych, którzy nie tylko nie brali udziału przy jego opracowaniu, ale go otwarcie zwalczali. Wśród odznaczonych oczywiście nie ma prawdziwych autorów Programu. Napisze o tym potem Stefan Bratkowski w miesięczniku INFORMATYKA. Żeby było śmieszniej, PRI jest krytykowany w dokumencie PKAPI przy okazji krytyki KBI. Sprawa była szyta grubymi nićmi, ale już tak było w PRL, że moralność i uczciwość zawodowa nie istniała u działaczy typu prof. Straszaka, doc. Janickiego, czy mgr. Wiśniewskiego.

Wybory nowych władz PKAPI Wiśniewski organizuje bez udzielenia absolutorium ustępującemu zarządowi. Gackowski wnioskuję o odrzucenie sprawozdania Wiśniewskiego ze względów formalnych. Nikt nawet nie sprzeciwia się wnioskowi. Lista nowych członków zarządu PKAPI zawiera większość nazwisk dyrektorów MERY, czyli nie użytkowników, a producentów. Wśród kandydatów użytkowników Wiśniewski forsuje Bajkowskiego, Tyłmana i Popławską (późniejszą swoją żonę). Jak było łatwo przewidzieć, przewodniczącym zostaje „uzgodniony” prof. Straszak, który potem dokooptuje do zarządu doc. Kuleszę z MERY, ów jednak przepadł w wyborach. Do zarządu nie wchodzi przedstawiciele KBI, którzy są faktycznymi reprezentantami użytkowników. Pod nowym przewodniczącym, PKAPI zostanie uśpione.

Niewątpliwie sprawą numer 1 dla informatyki w 1973 r. była działalność Komisji Partyjno-Rządowej d/s Informatyki. Jej przewodniczącym został Mieczysław Jagielski, wicepremier i członek Biura Politycznego, m.in. członkiem był z-ca przewodniczącego Komisji Planowania Józef Pińkowski, który wkrótce awansuje na sekretarza KC, a potem nawet na premiera. (W owym czasie Pińkowski sterował uruchomieniem produkcji Coca-Coli w Polsce. A więc Coca Colę pito na północy, a Pepsi-Colę na południu Polski, tak bowiem zaplanował centralny planista). Sekretarzem zostaje Jerzy Gwiazdziński, dyrektor Zespołu w Komisji Planowania, późniejszy z-ca przewodniczącego tej instytucji. W Komisji prym wodzi prof. Straszak, jeden utytułowany przedstawiciel nauki, który uchodzi za specjalistę-informatyka. Zadaniem Komisji jest opracowanie Perspektywicznego Programu Rozwoju Informatyki i przyspieszenie wykonania aktualnego Programu. Po roku okaże się, że ani jedno z tych zadań nie zostało wykonane przez Komisję. Komisja opracowuje bardzo szeroki program działania, zanosi się, że będzie funkcjonować przez parę lat. W trakcie prac ześrodkowuje coraz bardziej uwagę na sprawach bieżących, wyręczając niejako KBI. Na

co dzień urzęduje sztab Komisji, który podejmuje decyzje niczym syndyk masy upadłości informatyki. Ze sztabu wyłania się podsztab do spraw „systemów XXX-lecia PRL”.

W czerwcu powołana Grupa Ekspertów doprowadza do zatwierdzenia przez Państwową Radę Informatyki zaktualizowanego Programu Rozwoju Informatyki w zakresie systemów zastosowań. Program Państwowej Rady jednak nie obowiązuje Komisji Partyjno-Rządowej, która nawet nie raczy spotkać się z Grupą Ekspertów, natomiast nakazuje tej Grupie opracowanie nowego Programu na sierpień, co nigdy nie zostaje wykonane. Na posiedzenie Biura Politycznego trafia dokument Komisji, który jest wewnętrznie sprzeczny, nie tylko, co do zadań dla zastosowań i produkcji, ale nawet w zakresie nomenklatury sprzętu. Widać niefachową rękę Gwiazdzińskiego i Straszaka. Nowy Program ma obowiązywać w latach 1976-80, czy zatem Program na lata 1971-75, realizowany przez KBI obowiązuje nadal? Program przewiduje zainstalowanie 2100 komputerów (mocno za drogie dla Polski), 4 więcej aniżeli w latach 1971-75. Żeby dokonać tej sztuki trzeba przygotować po 3 czy 4 użytkowników na jeden komputer, czyli ok. 8400 organizacji. Co jest myślą przewodnią systemów zastosowań tego Komisja nie podaje. Z KSI pozostawia tylko do realizacji systemy CENPLAN, SPIS, PESEL i ŚWIATOWID (pod zmienioną nazwą SINTO od System Informacji Naukowo-Techniczno-Ekonomicznej).

Idea KSI została odrzucona z przesłanek politycznych, a nie systemowo-kosztowych. Potwierdza to treść mojej rozmowy z prof. Straszakiem w kawiarni Świtezianka, kiedy zimą spotkaliśmy się po konferencji u wicepremiera Mitręgi na temat jego referatu na Kongres Nauki Polskiej. Proszę go o poparcie idei KSI w przygotowanym dokumencie dla Biura Politycznego, Straszak nieopatrznie wyraża się, że „KSI jest to prosta koncepcja oparta na wręcz genialnym pomysle”. Nie był to jednak jego pomysł, więc go zwalcza przy pomocy ideologicznych argumentów. Szef Sztabu Komisji, J. Pińkowski powie o KSI, na zebraniu w Komitecie Informatyki PAN, że informatycy (czyli „Targowski”) doprowadzili władze. Po dyskusji nad dokumentem Komisji na Biurze Politycznym i zatwierdzeniu jego przez Prezydium Rządu, do czego doprowadził wicepremier Jagielski, dokument zostaje skierowany do dyskusji z ekspertami, czyli znajomymi Straszaka. Kolejność powinna być odwrotna. Po tych wszystkich zatwierdzeniach, pewnego dnia dzwoni do mnie dyr. Gwiazdziński i prosi o przesłanie naszego PRI na lata 1971-75. Szkoda, że dopiero teraz chce się zapoznać z dokumentem, który tak mocno Komisja krytykowała. Już na posiedzeniu Biura Politycznego, Zdzisław Grudzień (ze Śląska) krytykuje dokument za to, że nie dostrzega systemów automatyzacji procesów technologicznych. Ironia sprawy polega na tym, że rzekomo Straszak jest automatykiem, który nie zadbał w Programie o środki na systemy będące jego specjalizacją. Na Biurze pada także stwierdzenie, że Komisja nie może mieć monopolu na idee rozwoju informatyki. Komisja zostaje decyzją Biura Politycznego rozwiązana. Jednak zamiesza-



nie w informatyce trwa nadal, nikt już nie jest w stanie jego rozwikłać, min. Kaczmarek najwyraźniej traci serce do informatyki i trudno mu się dziwić.

W rezultacie Komisja wypracowała sobie obraz stanu informatyki taki, jaki chciała, ku zadowoleniu osób, których rolę uwypukliłem w tych wspomnieniach. Natomiast sprawa zsynchronizowania rozwoju zastosowań z produkcją sprzętu w ramach KSI została odrzucona. Komisja nawet nie zauważyła pionierskiego systemu resortowego RESPLAN zainstalowanego w MPM na świetnym komputerze IBM 370/145. Dużą zasługę w tym względzie mają mgr Jan Kramarczuk dyrektor IOPM („Orgmaszu”), jego z-ca Lech Janczewski, dyrektor Centrum Obliczeniowego i minister Tadeusz Wrzaszczyk. Kramarczuk i Wrzaszczyk potem rozwijali CENPLAN, kiedy Wrzaszczyk awansował na przewodniczącego Komisji Planowania. Robili to już w sytuacji spłoszenia co lepszych informatyków i działaczy szczebla centralnego, którzy woleli trzymać się z dala od KSI. Bez KSI rozwijanie CENPLANU nie wróżyło sukcesu. Tak się też stało w praktyce.

W tym bardzo trudnym okresie dla KBI w 1973 r. zostałem wydelegowany do realizacji systemu PESEL, obok kierowania w dalszym ciągu ekspertami d/s systemu kontroli inwestycji WEKTOR i współkierowania KBI. Miałem w tym czasie już trzech kierowców do swojej wyłącznej dyspozycji i działającą praktycznie przeciw moim ideom Komisję Partyjno-Rządową. Zostałem na czas wydelegowania z-cą pełnomocnika Ministra Spraw Wewnętrznych d/s PESEL. Liczyłem, że w ten sposób zagwarantuję realizację PESELA w ośrodkach ZETO i tym samym wzmocnię KBI i rolę Ministerstwa Nauki w sterowaniu rozwojem informatyki. Chciałem faktami dokonanymi pokazać Komisji Partyjno-Rządowej, że się myli. Wydelegowanie mnie do PESELA wskazywało, że można długo dyskutować o programach, ale ktoś musi robotę wykonać. Tym od roboty byłem ja. Nie wiem, jak można krytykować rolę MSW w rozwijaniu PESELA, ale fakt pozostaje faktem, że tylko Polska z wszystkich b. Krajów Demokracji Ludowej ma obecnie pod koniec XX w. ogólnokrajowy system, gdzie każdy obywatel ma swój numer, stosowany potem w systemie podatkowym, w rejestracji studentów, w prawie jazdy, w dowodzie osobistym, na wzór Stanów Zjednoczonych (*social security number*) i większości państw Zachodniej Europy. O rozwoju PESEL będę pisał w następnym rozdziale o KSI. Nawiasem mówiąc ja, który współzaprojektował ten system nie mam jego numeru, ponieważ gdy był wdrażany wyjechałem z Polski.

## Informatyka w 1974 r.

Gdy na początku 1974 roku podałem się do dymisji w MSW i kiedy ją wręczałem płk. Orłowskiemu, ten zbladł i potem prosił mnie o jej wycofanie. Nieopatrnie zgodziłem się, po czym za parę dni ten stary lis wręczył mi wymówienie. Wróciłem na stare śmiecie do KBI z opinią „wyrzuconego” z MSW. Odtąd zaczęły się szykany mojej osoby inspirowane przez Orłowskiego, który

chciał pokazać, że „kto podnosi rękę na MSW ten nie ma prawa do życia”. Polityka ta miała przestraszyć innych informatyków, aby nie poszli w moje ślady.

W KBI odczułem, że zostaję wyłączany z ważniejszych spraw, ale przyjąłem to ze spokojem, bowiem byłem już dobrze zmęczony walką z wiatrakami. Na wiosnę wiceminister Podgórski wręczył mi oczekiwane wymówienie i zaproponował docenturę w Szkole Głównej Planowania i Statystyki, którą przyjąłem. Stresy, jakie miałem bez przerwy spowodowały owrzodzenie żołądka i dwunastnicy, w związku z czym przeszedłem operację. Miałem wtedy 37 lat i czułem, że zostałem odesłany na emeryturę. Nie chcąc pogodzić się z tą myślą zwróciłem się do moich przyjaciół informatyków w Stanach Zjednoczonych. Zaproponowali mi stanowisko wizytującego profesora w Koledżu Hamilton w Clinton, koło Utica w Stanie Nowy York. Na rok wziąłem urlop z SGPiSu i wyjechałem do Stanów Zjednoczonych w sierpniu, aby rozpocząć wykłady w roku akademickim 1974/75. Dostałem paszport dla całej rodziny, bowiem liczone, że zostanę na stałe w Stanach Zjednoczonych. Ja jednak raz jeszcze zrobiłem władzom na złość i wróciłem do Polski w 1975 r.

Jeżeli chodzi o wyniki pracy KBI w omawianym okresie to pomimo szalonych trudności w realizacji PRI 1971-74 osiągnęliśmy to, że tempo inwestowania w informatykę wzrosło aż 10-krotnie w porównaniu do lat 1965-70, a pod względem ilości środków aż 16-krotnie.<sup>10</sup> Zamiast 500 komputerów zainstalowano prawie dwa razy tyle. Zainicjowaliśmy program rozwoju zastosowanych systemów informatycznych, zwłaszcza pilotowych opartych o świetny sprzęt z importu. Rozwiązaliśmy problem kadr informatycznych, czego rezultatem było zatrudnienie pod koniec 1975 r. aż 42 tys. informatyków, czyli 42 osoby na jeden komputer. Liczba ta odpowiadała mniej więcej liczbie lekarzy w Polsce. Problem kadr informatyków, początkowo nabrzmiały ze względu na braki ilościowe, w połowie lat 1970. stał się problemem jakościowym. Przewaga informatyków — to specjaliści przyuczeni, a nie wykształceni. Jak wiadomo informatyka weszła do praktyki w świecie nie przez programy kształcenia uniwersyteckiego. W latach 1970. zaczęto odrabiać te straty zarówno w kraju, jak i za granicą.

Przedstawiony obraz stanu informatyki w latach 1971-74 wyjaśnia przyczyny jego trudnego rozwoju. Ma tylko charakter przyczynka, w którym nie uwzględniono i wielu sukcesów, poświęceń i „dobrej roboty”, z jaką można było spotkać się w informatyce krajowej. Pomimo rozkładu, jaki panował w kierownictwie tej dziedziny, jak wykazuje historia, postęp techniczno-organizacyjny i społeczny nie może być zatrzymany na długo, pomimo, że ktoś by tego bardzo chciał.

W jednym ze swoich raportów napisałem, że „Informatyka jest dziedziną, która w ciągu najbliższych 15 lat będzie nas kosztować tyle, ile wydano na inwestycje w całym kraju w latach 1965-70. Nie jest dziedziną, którą można „ubranżować”, „uterenowić” i włączyć w ramy jednego resortu. Przeciwnie jest

---

<sup>10</sup> por. A. Targowski, *Informatyka, Modele Rozwoju i Systemów*, 1980, s. 256-259.

dziedzina o charakterze wszechogarniającym, przenika do każdego ważniejszego procesu i podmiotu społeczno-gospodarczego. Niedociągnięcia w informatyce będą również powodem niedociągnięć w tychże obiektach. Pomimo tego, na przestrzeni ostatnich 25 lat po wojnie nie była dostrzegana w kraju. Jej rozwój, o ile się odbywał to głównie dzięki garstce „niepoprawnych entuzjastów”, którzy potem albo wyemigrują albo będą stopniowo odsuwani jak ci, którzy „nie sprawdzili się”. Trzeba być nadczłowiekiem, aby równocześnie umieć rozwiązywać zagadnienia techniczne, organizacyjne, bronić się przed nikczemnymi, nie-doukami i karierowiczami, zabezpieczać sobie plecy w ośrodkach władzy, popularyzować temat w społeczeństwie, nie popełniając ani jednego błędu. Takich ludzi nie ma i nie będzie”.

Następne lata wykazały, że już w 1974 r. gospodarka zaczęła się załamywać, przystąpiono więc do tzw. „manewru gospodarczego”, polegającego na łataniu dziur w planach i chaotycznego przerzucania środków z resortu do resortu w inwestycji do inwestycji. W 1976 r. został utworzony Komitet Informatyki, przewodniczącym którego został sam premier Jaroszewicz, który tym samym wygasił wszelką krytykę w tej dziedzinie, jak również wygasił już ledwie tłącą się informatykę. Sekretariatem Komitetu kierował Juliusz Kulikowski, który też nabrał wody w usta, zwłaszcza, że jego protektor w KC prof. Straszak wyjechał na saksy do Wiednia. Ten nigdy nie tracił głowy i orientacji, gdzie i kiedy zadbać o swój interes. W 1980 r. gospodarka PRL załamała się, bowiem nie mogła wytrzymać takiego marnotrawstwa środków i złego kierowania, jakie miało miejsce nie tylko w informatyce, ale w większości dziedzin nauki i przemysłu. W latach stanu wojennego w latach 1980. o informatyce już nie dyskutowano, ani nikt się już tą dziedziną nie przejmował.

Przykład trudności w rozwoju informatyki w PRL wykazał, że Dyktatura była nader czuła na niekontrolowany przepływ informacji w społeczeństwie, aby pozwolić informatyce na udoskonalenie systemu kierowania gospodarką. Dopiero w gospodarce rynkowej i w demokracji rośnie zapotrzebowanie na prawdziwą informację, której automatyzacja jest przedmiotem lukratywnego biznesu. Wszelkiego rodzaju sztuczne autorytety typu wspomnianych tu „profesorów i docentów” nie mają w takiej gospodarce na kim żerować i nikt ich nie słucha, bo nie musi. Zresztą sami giną naturalną śmiercią dyletanta wśród fachowców. Większość wymienionych tu utytułowanych działaczy zniknęła z horyzontu informatyki w III RP, włącznie z wszędzie wsadzającym swe trzy grosze, prof. Wł. Turskim.

Tak więc likwidatorzy śmiałej myśli informatycznej, jaką wnosilem ze Zbigniewem Gackowskim, sami się zlikwidowali, bardzo szybko zapomniano o Straszaku i Matwinie, podobnie jak o innych „Orlach” i „Sokołach” destrukcji.